

Są kraje, gdzie się spokojnie pracuje, są takie, gdzie się bez sensu pyskuje, a są też takie, gdzie trwa wieczna rewolucja. Do tych ostatnich zalicza się Meksyk.

Od początku dwudziestego wieku bili się tam prawie wszyscy ze wszystkimi. Walczyli o ziemię i wolność, ale każdy po swojemu i w efekcie niewiele wywalczyli.

W tamtych czasach działali tacy legendarni przywódcy, jak Pancho Villa, Venustiano Carranza czy Emiliano Zapata. Meksykanom najbardziej zapadł w pamięć Zapata i prawie wszystkie późniejsze ruchy i rozruchy powoływały się na jego imię.

W tym skażonym rewolucją kraju najbardziej niespokojnym jest stan Chiapas. To dziwny stan. Leży na ropy, gazu, żelazie i innych bogactwach naturalnych, a zarobki w nim są jednymi z najniższych w Meksyku. Wytwarza prawie połowę energii elektrycznej kraju, a ma najwięcej niezelektryfikowanych domostw.

Zapewne dlatego jest wylęgarnią wszelkiej maści idei rewolucyjnych i separatystycznych. Tam też powstała Zapatystowska Armia Wyzwolenia Narodowego (EZLN), a na jej czele stanął subcomandante Marcos.

Najpierw konno, później na motocyklu, zawsze w kominiarce, Marcos objeżdżał miasteczka i wioski, wzywając ludzi do buntu przeciw władzy centralnej. Gdy urósł w siłę, pojechał wraz z kilkoma towarzyszami do stolicy, aby tam negocjować z prezydentem warunki autonomii dla Chiapas. Podobno prezydent ich nie przyjął, a do rozmów desygnował tylko swoich urzędników. Negocjacje nic nie przyniosły, Marcosowi skończyły się pieniądze i zapatystowska delegacja wróciła z niczym w swoje góry.

Rewolucja trwała jednak dalej, ale z wolna przeradzała się w terroryzm. Zaczęły powstawać niby wolne gminy, gdzie przybyszów witało hasło: „Jesteś na rebelianckim terytorium zapatystów. Tutaj ludzie rządzą, a rząd słucha”. W praktyce oznaczało to, że na tych terenach panował bałagan i nikt za nic nie odpowiadał.

Z zapatystami zetknąłem się po raz pierwszy w San Cristóbal de Las Casas. Byli oni niegroźni, bo w postaci laleczek z karabinami i w kominiarkach, których było pełno na straganach z pamiątkami dla turystów. Zwiedziliśmy tamtejszą katedrę, spróbowaliśmy tacos árabes* i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Jechaliśmy krętą szosą pomiędzy wzgórzami. Na jednym z zakrętów, mimo ciągłej linii, wyprzedził nas stary pikap. Na jego platformie siedziało dwóch wyrostków, którzy w trakcie wyprzedzania machali do nas rękami, śmiali się i robili różne miny.

Po kilkunastu minutach zobaczyliśmy znowu ten samochód stojący na środku szosy. Miał otwartą maskę, a jego właściciel dłużył pod nią. Nie można było go wyprzedzić, więc nasz kierowca zatrzymał autobus i wysiadł, żeby zobaczyć, co się stało. Gdy podszedł blisko, wtedy zza auta wyskoczyli znani już nam chłopcy z... kałachami w dłoniach. Kazali mu ponieść ręce i popchnęli w stronę autobusu.

Za chwilę byli już w środku i wtedy zaczęli coś wykrzykiwać, powtarzając co chwilę słowa „revolución” i „zapatisti”. Wymachiwali przy tym automatami jak zabawkami i w każdej chwili mógł paść przy-

padkowy strzał. Nasz pilot wstał i chciał tłumaczyć, co mówili, ale wyrwali mu mikrofon i kazali siadać. Natomiast meksykański przewodnik Mario wtulił się w swój fotel i udawał, że go nie ma.

Potem jeden z napastników przeszedł na tył autobusu, a drugi został przy kierowcy i kazał mu jechać za pikapem, który w międzyczasie został cudownie naprawiony.

Porywacze mieli najwyżej po czternaście lat i byli drobni jak większość Meksykanów. Każdy mężczyzna z naszej wycieczki, a pewnie i co druga kobieta, był od nich silniejszy i byłby w stanie ich unieszkodliwić. Mimo to wszyscy siedzieliśmy jak trusie i biernie czekaliśmy na to, co będzie. Odważni poskramiacze bandytów są tylko w amerykańskich filmach. Pośród nas takich nie było.

Zjechaliśmy nieco w boczną drogę i zatrzymaliśmy się na czymś w rodzaju wiejskiego placyku. Było przy nim kilka ubogich chat pokrytych zardzewiałą blachą i dwie nieco okazalsze budowle. Jedna z nich miała zadaszoną werandę, a na jej ścianie widniał odręczny napis: POLLOSASADOS AL CARBON Y JUSOSDE nARANJAS**. Sfatygowany plakat przedstawiający butelkę coca-coli na drugiej ścianie i kilka plastikowych stolików pod zadaszeniem nie pozostawiało wątpliwości, że jest to miejscowa restauracja. Obok stał równie piękny obiekt z dumnym szyldem napisanym bez wątpienia tą samą ręką: VULCANIZADORA.

Przy jednym z restauracyjnych stolików siedział starszy człowiek w białej koszuli i takimże kapeluszu. Wyglądał jak mafijny don. Stojący na przodzie autobusu porywacz pobiegł do niego i zraz wrócił z zapytaniem, skąd jesteście. Uzyskawszy od naszego pilota odpowiedź, wrócił do restauracji i po chwili wszedł do autobusu, niosąc małe plastikowe wiaderko. Następnie wygłosił do nas krótką przemowę, którą nasz pilot przetłumaczył. Wynikało z niej, że jesteście w rękach rewolucjonistów walczących o sprawiedliwość i dlatego musimy im zapłacić po sto dolarów od głowy.

To zagrożenie kieszeni spowodowało w nas wielką przemianę duchową. Jak dotychczas siedzieliśmy cichutko, tak teraz nagle wszyscy zaczęliśmy głośno protestować. Padały słowa: bandyci, chamstwo, skurwysyny i tym podobne. Wybuch naszej odwagi zakończył dzieciak z karabinem, podsuwając pod nos najbliższego turysty jego lufę i wspomniane już wiaderko. Wtedy wszyscy umilkliśmy i potulnie wyciągaliśmy pieniądze, a porywacz nie musiał już nikomu grozić bronią.

Po zakończeniu zbiórki wyproszono nas z autobusu i wtedy spod werandy wyszedł do nas don i grzecznie, acz zdecydowanie, zaprosił do restauracji. Oświadczył, że na pewno jesteście zmęczeni i chętnie odpoczniemy, jedząc lub pijąc co nieco. Mali porywacze stali obok i widać było, że chętnie przy pomocy broni pomogą nam w podjęciu decyzji. Nie chcieliśmy tego i każdy z nas szybko kupił po puszcze coli lub piwa. Potem pozwolono nam odjechać, a restaurator i mali rewolucjoniści pomachali nam na pożegnanie rękami.

Gdy autobus ruszył, znowu obudziły się w nas lwy i jeden przez drugiego zaczęliśmy złorzeczyć. Cała nasza złość wylała się na bogu ducha winnego pilota. Ten tłumaczył się, że słyszał o podobnych zdarzeniach, ale od nikogo wiarygodnego. Sam był wystraszony i nie wiedział, co powinien zrobić.

Z kolei on naskoczył na meksykańskiego przewodnika i zarzucił mu – zupełnie słusznie – że ten wcale nie reagował w czasie całego zajścia. Meksykanin otwarcie oświadczył, że nic nie robił, bo to nie miałoby sensu. Zostaliśmy porwani dla okupu i, bez względu na wszystko, okup musieliśmy zapłacić. Jakikolwiek opór rozzłościłby tylko napastników i mogłoby to się skończyć o wiele gorzej.

– A niby jak? – krzyknął ktoś.

– Mogliby przestrzelić nam opony – odpowiedział przewodnik. – Musielibyśmy je naprawiać lub ściągać nowy autobus. To potrwałoby ze dwa dni, ale i tak musielibyście się wykupić – zakończył.

– Słyszałeś? – zapytał mnie sąsiad. – Mario powiedział „musielibyście się wykupić”. – Nie zauważyłeś, czy on też wrzucił forszę do wiaderka? Może on był z nimi w zмовie?

Okazało się, że nikt nie zauważył, czy przewodnik wrzucił pieniądze i cały autobus milcząco uznał go za współuczestnika napadu. Podejrzany chyba to wyczuł, bo już do końca dnia zachowywał się niemeksykańsko – był milczący i oficjalny.

Utyskiwania trwały jeszcze jakiś czas. Niektórzy proponowali zgłosić nasze porwanie na najbliższym posterunku policji, a inni chcieli pisać skargi do różnych meksykańskich władz, z prezydentem włącznie. W końcu jednak emocje opadły. Dotarło do nas, że skoro wjechaliśmy na terytorium, gdzie „ludzie rządzą, a rząd słucha”, to mieliśmy okazję – za dopłatą stu dolarów – przekonać się, do czego takie rządy mogą doprowadzić.

** tacos árabes – naleśniki z kukurydzianej mąki z nadzieniem typu gyros*

*** Napis jest przytoczony wiernie i łącznie z błędami, a po polsku brzmiałby:*

„KURCZAKIPIECZONE NA WĘGLU I SOKIZ pOMARAŃCZ”.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 06.12.2019 08:50

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.